

## Prenumerata w Warszawie

Rocznie . . . Rs. 7 kop. —  
Półrocznie „ 3 „ 50  
Kwartalnie „ 1 „ 75  
Miesięcznie „ — „ 60

Za zmianę adresu dopłaca się kop. 20.

Cena pojedynczego numeru bez dodatku kop. 20.

# GŁOS

## Prenumerata na Prowincyi w Cesarstwie i zagranicą:

Rocznie . . . Rs. 9 kop. —  
Półrocznie „ 4 „ 50  
Kwartalnie „ 2 „ 25

Drobnych rękopisów redakcyja nie zwraca.

Ogłoszenia przyjmuje księgarnia T. Paprockiego i S-ki oraz Warszawskie biuro ogłoszeń (Wierzbowa № 8 po k. 10 za wiersz petitem lub za jego miejsce Reklamy po kop. 20.

## TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY.

Wychodzi co Sobota.

**REDAKCJA:** Smolna (Wysoka) Nr. 24.  
**Ekspedycya główna:** Nowy - Świat Nr. 41,  
w księgarni Teodora Paprockiego i S-ki.

Co kwartał dodaje się bezpłatnie jeden zeszyt dzieł naukowych.

## T R E Ś C:

Szkoła w Japonii, rzez J. P.

Ze słodkiego świata, przez Cukrownika.

Medium w osobie E. Palladino, przez Dr. J. Harusewicz.

Z literatury i sztuki współczesnej, przez Kate.

Bez obłudy, przez Maryana Bohusza.

Głosy. Gospodarka żydowsko-niemiecka. — Szpital dla dzieci. — Przywóz mięsa. — Dziwna reklama. — Erudycya radomska. — Sprawozdanie muzyczne.

Z kraju, przez J. Nieborskiego.

Korespondencyja „Głosu“: Kijów. Manchester.

Przegląd społeczny. Tomaszów Rawski. Granica. Petersburg. Lwów.

Przegląd polityczny.

Kronika powszechna.

Ogłoszenia.

Odolnek. Handelek, Powieć, przez Teod. Tom. Jęsa

### Biuletyny o stanie zdrowia Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana.

29-go Stycznia (godz. 12 m. 15 południa). Najjaśniejszy Pan zachorował na silną influencę ze znacznym katarem przewodu oddechowego (bronchitis) i zapaleniem niższej części prawego płuca. Ciepłota ciała dochodzi do 39,6°.

29-go stycznia (godz. 2 m. 50 po południu). Najjaśniejszy Pan czuje się trochę lepiej. Zapalenie nie rozszerza się, najwyższa temperatura nocą 39,3, rano 38,5, puls dobry.

D. 30 stycznia godz. 2 minut 40 po południu. U Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana temperatura nie podniosła się w nocy; rano 38°; objawy zapalenia płuc zmniejszają się. *Bronchitis* trwa i utrudnia sen; puls dobry.

Godz. 2 min. 20 po północy: U Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana temperatura zmniejsza się stale, wieczorem wynosiła 37,7°; *bronchitis* słabnie trochę i pozwala od czasu do czasu na niedługi sen. Puls dobry.

D. 31 stycznia, godz. 2 m. 50 po południu. Temperatura u Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana wynosi 37°; Puls dobry; objawy zapalenia płuc niewidoczne. *Bronchitis* słabnie; sen lepszy; pojawił się nieduży apetyt. Choroba zaczyna zmniejszać się.

1-go lutego, godz. 12 m. 35 po północy. U Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana temperatura wynosi 37,1°; puls dobry. *Bronchitis* zmniejsza się stale; sen i samowiedza lepsze. Biuletyny o chorobie będą ogłaszane tylko raz na dzień.

### SZKOŁA W JAPONII.

Niedawno jeszcze sprawa oświaty i szkolnictwa uchodziła w prasie i opinii publicznej za jedno z najważniejszych zadań społecznych. Można powiedzieć nawet, że istniał kult oświaty, mający swoich fanatycznych wyznawców i, jak każdy kult, grzeszący pewną przesadą. Widziano w oświacie siłę cudowną, życiotwórczą, niezawodne lekarstwo na wszelkie dolegliwości etyczne i społeczne. Przedstawicielem widomym tego kultu był legendarny „nauczyciel pruski“, którego nazywano właściwym twórcą zjednoczenia Niemiec, sprawcą ich tryumfów wojennych.

Wprawdzie odzywały się głosy, protestując przeciw tej przesadzie, usiłujące sprowadzić znaczenie oświaty do właściwych rozmiarów, ale głosy te nieliczne nie sprawiły dysonansu w wielkim chórze opinii ogółu. Reakcyja, której były one zwiastunami, nastąpiła później z rozmaitych przyczyn. Nad przyczynami temi rozwodzić się nie będziemy, zaznaczymy tylko, że reakcyja ta ujawniła się w rozmaitym stopniu w różnych krajach i, jak dawniej kult oświaty często przekraczała słuszną granicę. Nie była i nie jest ona niebezpieczną tam, gdzie oświata, oddawna stała się niemal powszechną, potrzebą, w dodatku potrzebą praktyczną, zależną od wymagań życia. W społeczeństwie, posiadającym przymus szkolny, instytucye, ułatwiające wszechstronne kształcenie młodzieży, a nawet dorosłych, bogate, czasem bodaj nadmiernie rozwinięte piśmiennictwo gorliwe zalecenie oświaty było często szkodliwą jednostronnością, tymbardziej, że pomijało lub osłabiało wpływ innych czynników, niemniej ważnych.

Inaczej wszakże przedstawia się ta, poniekąd słuszną w zasadzie, reakcyja w społeczeństwie, w którym zaledwie 1/6 części ludności umie czytać i pisać, w którym ciemnota jest bezpośrednią, często jedyną przyczyną wielu ujemych objawów. Nauka, zwłaszcza nauka elementarna, umiejętność czytania i pisania niewątpliwie nie robi człowieka lepszym, przypuśćmy że nie robi go nawet rozumniejszym, ale jest dzisiaj koniecznym warunkiem kultury obyczajowej i materialnej, świadomości obywatelskiej i t. d. Oświata nie jest celem, do którego kultura ma dążyć, ale jest niezbędnym warunkiem tej kultury. Nie może być mowy o wyższem uobyczajeniu, o postępie materialnym, o rozwoju stosunków ekonomicznych

w społeczeństwach, w których to narzędzie kultury jest zaniedbanem, nie wydoskonalonem.

Z tego względu pouczającą i ciekawą być powinna wiadomość, jak na sprawę oświaty zapatruje się społeczeństwo rdzennie azjatyckie, żyjące na krańcu wschodnim tej części świata. Mówimy tu o Japonii, która tak szybko rozwija się kulturalnie i, zachowując swoją odrębność, nie urąga jednak „zgniłemu“ Zachodowi, owszem, usiłuje go w wielu wypadkach naśladować.

W Chinach i Japonii, które skutkiem niezajomości tych krajów uważamy dotychczas za pół-barbarzyńskie, oddawna już oświata w znacznej mierze była upowszechnioną. W Japonii wprawdzie do 1888 r. korzystała z niej prawie wyłącznie klasa wyższa, uprzywilejowana, dosyć jednak liczna (około 2.000.000 osób). Kiedy w 1888 r. z inicjatywy panującego dotychczas mikada obalony został system feudalny i cywilizacja europejska znalazła dostęp do „państwa wschodzącego słońca“, rząd z wielką energią zajął się sprawami oświaty. W 1872 r. wydano prawo o organizacyi szkół przeznaczonych dla wszystkich klas ludności. W ciągu ostatnich dwudziestu lat założono uniwersytet w Tokio, urządzony na sposób europejski i mnóstwo szkół wyższych, średnich i niższych, czyli elementarnych. Dotychczas oświata nie jest jeszcze obowiązkową, dla braku odpowiedniej liczby szkół, a raczej dla braku należytych przygotowanych nauczycieli. Zresztą przymus szkolny jest w Japonii zbyt słabym, rodzice bowiem, nawet najubożsi chętnie dają dzieciom naukę. Dla przygotowania nauczycieli już założono seminaria. Oprócz szkoły publicznej istnieją liczne szkoły prywatne. Wszystkie szkoły utrzymywane są z podatku szkolnego, który płacić musi każdy ojciec rodziny w kwocie 4 rs. rocznie. Niektóre szkoły mają też własne fundusze, rząd bowiem do utrzymania szkół niższych i wielu średnich nie dopłaca. Nauczyciele otrzymują odpowiednie, stosownie do wymagań miejscowych, wynagrodzenie, którego część biorą w naturze.

Do klas niższych chłopcy i dziewczyny uczęszczają razem. System kar nie istnieje dzieci japońskie bowiem uczą się chętnie i są jak to zauważyli wszyscy podróżnicy, wesole ale ciche i grzeczne. Zresztą i rodzice w domu nigdy prawie dzieci nie karzą.

Kurs nauki w szkołach ludowych, które są niższe, elementarne i wyższe — zasługuje na uwagę, a z wielu powodów nawet na naśladowanie... Obszernie jest wykładana nauka moralności w życiu prywatnem i publicznem.

W ścisłym związku z nią stoi nauka o przyzwyczajeniach, czyli dobrem zachowaniu się; za pomocą dobranych przykładów nauczyciele wpajają w dzieci zasady postępowania w życiu codziennym. Nauka czytania i pisania zabiera wiele czasu, ponieważ grafika japońska bardzo jest skomplikowana. Książki do czytania, wybrane przez rady szkolne i zalecone przez ministerium oświaty, odznaczają się nie tylko doborem treści, ale również pięknymi rysunkami. W wyższych szkołach ludowych wykładają naukę stylu, poetykę i t. p. Bardzo ważnym przedmiotem jest nauka o kraju rodzinnym, traktowana starannie i umiejętnie. Dzieci poznają wybornie kraj rodzinny i dzieje jego, otrzymują też dosyć dokładne wiadomości o krajach sąsiednich—Chinach i Korei. Geografia Europy i Ameryki wykładana jest tylko w wyższych szkołach ludowych. Naukę rachunków prowadzą metodą europejską lub za pomocą japońskich przyrządów do liczenia. Oprócz historii naturalnej (zoologii, botaniki i mineralogii) uczą także dzieci ogólnych zasad fizjologii i dają im pojęcie o budowie anatomicznej człowieka. Nauka rysunków ze wzorów i z natury zajmuje w kursie szkół ludowych ważne miejsce, ale ważniejsze jeszcze nauka śpiewu i muzyki. Japończycy nie są z natury muzykalni, melodie ich narodowe są ubogie i jednostajne, głosy mają bezdźwięczne, ale dla tego właśnie, ażeby zwalczyć te braki, z zapalem oddawać się zaczęli nauce muzyki i śpiewu. Wreszcie oprócz przedmiotów szkolnych dziewczyny uczą się kroju a chłopcy w miejscowościach rolniczych zapoznają się z uprawą ryżu i z jedwabnictwem. W miastach portowych wykładają w szkołach ludowych język angielski. Taka jest szkoła w Japonii...

J. P.

## Ze słodkiego świata.

Świat cukrowniczy dość często zwraca na siebie uwagę przeciętnej nawet publiczności. Konsument cukru styka się z jego ceną, wahającą się często, dowiaduje się o licznych odgłosach sporów pomiędzy fabrykantami a dostawcami buraków, dochodzą go wieści o konwencji między cukrownikami, o wielkich zyskach fabrykantów, dość znaczna wreszcie jak na konsumpcję Królestwa (15 funt. na głowę) liczba fabryk w różnych okolicach kraju sprzyja zetknięciu się z tym przemysłem.

Czytelnik *Głosu* chętnie być może zapozna się z tym światem, zajmującym w każdym razie poczesne miejsce tak pod względem produkcji (54 mil. rub.) jak i technicznego postępu w naszym przemyśle. Zapoznam go bliżej z tymi szczegółami, które w ogóle mało są znane szerszej publiczności.

Z zakładanych pierwotnie przez szlachtę czysto gospodarczych fabryczek pozostała obecnie bardzo nieznaczna ilość z ogólnej liczby 41 fabryk, większa część ich stanowią ogniska przemysłowe,  $\frac{2}{3}$  kapitału których znajduje się w rękach finansistów żydowskich lub obcokrajowców. Przeważnie, bo 60% ogólnej liczby fabryk należą do towarzystw akcyjnych, reszta 40% stanowią własność prywatną, z których 60% znajduje się w rękach polskich, 40% w rękach żydowskich. W towarzystwach akcyjnych dominują kapitały żydowskie i zaledwie 2 fabryki możnaby wskazać jako czysto polskie, udziałowe. W ogóle nie będziemy dalecy od prawdy, jeżeli przyjmujemy powyższy podział kapitału.

Technika naszego przemysłu rozwijała się równolegle z ogólnym postępem tegoż zagranicą i dziś stoi w ogóle nie niżej jak gdzie indziej, jeżeli nie wyżej. Jakkolwiek sami nie przyczyniliśmy się swoją inwencją do zapisania imion naszych w tym przemyśle, jednakże umiemy dobrze posilkować się u obcych i zastosować ich ulepszenia. Pomysł polskie, a było ich bardzo mało, nie były w ogóle szczęśliwe, nie długo się utrzymały. Takie epokowe odkrycia w cukrownictwie, jak wydobywanie soku z buraków za pomocą dyfuzji między rozerwanymi komórkami buraka a wodą, jak zbudowanie polarymetru, jak wreszcie

wiele innych pod względem techniki i chemii, należą do naszych sąsiadów-niemców, od których skwapliwie korzystamy. Dziś cukrownie w Królestwie zarządzane są po większej części według ostatnich wymagań techniki i fabrykują dobrze, t. j. dążą do otrzymania największej ilości cukru z danej jednostki buraków, przy możliwej oszczędności w opale i innych środkach pomocniczych.

Obecny stan przemysłu cukrowniczego, dzięki podtrzymującej się solidarnie konwencji, która normuje cenę cukru i pozwala produkować z zyskiem, był w ostatnich latach *dobrym*, a przeszły np. rok przy wysokiej, jak dawno nie było, cenie cukru, można nazwać dla znacznej części fabryk *świetnym*. Dywidendy niżej 10% bardzo rzadko się zdarzały, większa część fabryk dawała 20—30%, a jedna np. 75%. Są to zyski rzadko otrzymywane obecnie w innym przemyśle. Z upadkiem konwencji, która dla wielu fabryk jest uciążliwą i od której chętnie uwolniłyby się, jakaś część fabryk musiałaby upaść, nie mogąc wytrzymać konkurencji z fabrykami zasobnymi w kapitały, któreby mogły przez pewien czas płacić więcej za buraki i taniej produkować cukier. Obecnie losy konwencji się rozstrzygają, wielu jest niezadowolonych malkontentów, którzy żądają zmniejszenia normy swego wywozu za granicę i sprawiedliwszego podziału tegoż. Fabryki Królestwa, wyrabiające około 80,000 tonn cukru, a spożywające 50,000 tonu tegoż, produkują nadmiar cukru, dla którego muszą szukać zbytu za granicą, gdyż wywóz na wschód utrudnionym jest bardzo wysokimi taryfami. Chociaż minęły już bezpowrotnie zapewne owe świetne dla cukrownictwa lata, kiedy 50% zysków nie było rzadkością, jednakże i dziś jeszcze przemysł ten należy do lepszych, co się wyraża ogólnym dążeniem i chęcią w zakładaniu nowych fabryk. Nie pomagają ostrzegawcze głosy starych fabrykantów.

Ciekawszą stroną dla czytelnika będzie zajrzeć do wewnętrznej organizacji tych zakładów, zajmujących około 750 osób personelu urzędniczego i 10,000 robotników.

Niedawno jeszcze cały skład urzędników wyższych i znaczna liczba niższych—złożony był z Niemców, za czem prowadzenie ksiąg technicznych i buchalteryjnych odbywało się w języku niemieckim. Obecnie w nielicznych już fabrykach pozostał ślad tego, i dziś po większej części miejsca oficjalistów zajęte są

# HANDELEK

POWIEŚĆ

przez

Tec. Tom. Jeża.

Dalszy ciąg.

— Ona radzi: niech się pannuńcia nie sprzeciwia... Będzie najprzód wyprawa... Wyprawa będzie się robiła w Czerniejowcach, albo aż we Lwowie... Pannuńcia się o tem dowie i mnie da znać, a pani Kropilska zaradzi...

— Nie radzi mi iść za hrabiego?...

— Nie... nie... — odrzekł żyd z mocnym przyciskiem. Ona tak robi, że jasny pan na durnia, z przeproszeniem, wyjdzie... Już tak ona zrobi... O ona!...

Tu palcem sobie po czole pod adresem pani Kropilskiej postukał.

Dokładniej sprawy zdać nie mógł.

Joasię to zadowolniło; zadowolniło z tego przedewszystkiem względu, że odzyskiwała w całości dawniejsze rojeń pole, szerokie, uroczyste, na którym ukazywał się Józio w roli udobrodziejstwowanego, a zamiary samobójcze usunęły się w dal niedostrzeżoną. Odzyskała spokój, weselość i rozmowność; odzyskała humor, dzięki któremu można było swobodnie mówić przy niej o jej przyszłym małżonku, o weselu, o wyprawie.

„Zgodziło się biedactwo z przeznaczeniem”...—myślała sobie mandataryuszowa.

Wcale nawet uprzejmie traktowała sędziwego narzeczonego swego, dosyć częstego na mandataryi gościa, który nigdy z próżnemi nie zjawiał się rękami. Regularnie przywoził upominek jakiś, jeżeli nie córce, to matce. Zaproszony na pączki, na smalcu gęsim smażone, spożywał je na talerzach porcelanowych, ozdobionych cyframi J. G. (Julia Grabelska), których serwis kompletny ofiarował mandataryuszowej.

On pierwszy o wyprawie wspomniał.

— Gdzie?... — zapytał. We Lwowie?.. w Wiedniu?..

— Nie możnaby w Czerniejowcach?... — odparła pani Grabelska.

W kwestyi tej dwa powodowały ją względy. Na wyprawę—rzecz prosta—łożył hrabia, nie chciała przeto przed ślubem narażać go na wydatki wielkie, jakie by pobyt we Lwowie, tem bardziej w Wiedniu, pociągnął za sobą musiał. Powtóre we Lwowie, w Wiedniu, zgubiłaby się w odmęcie wielkiego, nieznanego miasta, podczas kiedy w Czerniejowcach była jak u siebie, a przytem z pewnością miała pomoc i poradę w razach wątpliwych w osobach kobiet jej życzliwych i takich doświadczonych, jak Tugenderowa i jej córka.

— Cóż narzeczona moja na to?...—zapytał hrabia.

— Cóż?... nic...—odpowiedziała Joasia.

— Pewny jestem, iżbyś wolała Wiedeń albo Lwów, aniżeli Czerniejowce...

— Wolę Czerniejowce...

— Na pewne?...

— Na pewne...

— To chyba mnie na przekór, bo ja bym Lwów albo Wiedeń wolałam...

— Jeżeli to panu hrabiemu przykrość robi...—wtrąciła pani Grabelska—to my się do tego zastosujemy woli...

— Przykrość?... Najmniejszej!... Zajedziem do domostwa Tugenderów i będziem się po sklepach i magazynach grzebali... Niech sobie panie jeno register sprawunków naprzód spiszą, bo ja się na tem nie znam...

Wymieniać tonem żartobliwym zaczął:

— Koszule, kaftaniki, spódnice, spódniczki, pończochy, podwiązki, majtki, podkładki... aa!... czy ja wiem?..

— Uwolnimy od tego pana hrabiego... — rzekła pani Grabelska.

— Więc Czerniejowce?... stanowczo?...

— Czerniejowce...—odparła Joasia z przyciskiem.

— Może się panie rozmyślą jeszcze... Zostawiam czas... do maja...

Czas upłynął; rozmyślenie się nie nastąpiło. W maju dwa pojazdy wywoziły z Zielonej Łuki trzy, z wyjątkiem służby, osoby, odgrywające wydatne w opowiadaniu niniejszem role. Z karety, przez cztery konie, w lejc ciągniętej, wyglądało przez spuszczone od karety okno świeże klasycznie ukształ-



mogłem rozpoznawać z mojej odległości rysy twarzy Eusapii, rece jej jednak były widoczne; E. jak zwykle siedziała przy wazkim brzegu stolika. Na środku stolika leżał drewniany rajsbret wielkości rozłożonego zwykłego arkusza papieru, ołówka zaś nie było; na rajsbrecie znaków przy oglądaniu nie dostrzegłem żadnych; dla uzmysłowienia warunków dodam, że medyum z łatwością, nie wstając, mogłoby dosięgnąć ręką rzezonego rajsbretu. Po kilku zwykłych objawach ze strony medyum i silnych przechylaniach bocznych stołu, przyczem, co zwróciło moją uwagę, rajsbret nie posunął się wcale, jak gdyby był przymocowany do blatu (potem przekonałem się, że przy mniejszym nachyleniu tenże rajsbret spadał z tego samego stolika), usłyszałem, w chwili spokoju, niewyraźny szmer skrobania, niby paznociem, po gładkiej desce, ręce jednak E. pozycyi nie zmieniły; wkrótce zapytała ona, czy widzieliśmy cień ręki na rajsbrecie, okazało się, że nikt go nie widział, dało to jednak powód do obejrzenia rajsbretu: dość spory zaokrąglonej formy zygzak, widocznie ołówkiem nakreślony, widniał na środku rajsbretu. Był to jej ostatni wysiłek fizyczny; w chwili potem „John“ już odmówił posłuszeństwa; Eusapia prosiła przerwać seans z powodu wielkiego zmęczenia, co w samej rzeczy malowało się na jej twarzy, wygląd bowiem robił wrażenie starszej i zwiędłej, mocno wyczerpanej... Kiedy jednak w ciągu pięciu, najwyżej dziesięciu minut E. powróciła prawie do normy, rozmawiała wesoło i śmiała się, spróbowałem, niestety (na 3. im posiedzeniu robiłem propozycje w tym względzie, jednak zgody nie uzyskałem), raz tylko jeden i ostatni wykonać doświadczenie natury czysto umysłowej.

Chodziło o odgadywanie cyfr. Przyniosłem ze sobą w sześciu, nie różniących się niczem, kopertach, zapieczętowanych dokładnie i z grubego nieprzejrzystego papieru, tyleż kartek z napisanymi na nich liczbami (E. czytać nie umie, więc i „John“ tej sztuki nie posiada podobno wcale); trzy z pomienionych liczb nie były mi zupełnie wiadome, gdyż napisał je na moje żądanie jeden z przyjaciół moich w Warszawie p. T. N., sam włożył do kopert, zapieczętował i wręczył już gotowe; trzy zaś inne napisałem ja sam i dla łatwiejszego zapamiętania wybrałem znane z liczenia czasu: 12, 30 i 52, zrobiłem znaczki na kopertach dla odróżnienia od liczb nieprzezemnie pisanych, wiedzieć jednak po zapieczętowaniu nie mogłem,

która z tych trzech wiadomych mi liczb w jakiej mieści się kopercie. P. Siemiradzki objaśnił Eusapii, o co idzie, zgodziła się, usiadła przy małym stoliczku, ja wybrałem jedną z trzech kopert, przygotowanych przez p. T. N., położyłem pod rękę medyum, w utworzeniu zaś łańcucha wzięły udział tylko osoby „zharmonizowane”, a więc dwie panie i pp. Och. i Siem., światło ciągle przyćmione; usiadłem niedaleko, ręki z rozmysłem na stoliku nie kładąc, jednak wkrótce stoliczek podsunał się do mnie, „John“ zaś pukaniem na pytanie odpowiedział, że życzy sobie widzieć i moją rękę w łańcuchu. Nareszcie po kilku wahaniach „duch“ zdecydował się wypukać liczbę w kopercie i wypukał 9, otwieramy kopertę przy lampie znajdujemy 14; kilka słów głośniejszej cichej usłyszawszy usiłuje, „John“ zgadnąć, co druga koperta zawiera i w tych samych warunkach wystukuje 10, co Eusapia potwierdza słowem *bene*, a wydobyta z koperty kartka zaprzecza swoją liczbą 34. Po takim fiasco Palladino mówi: eh, to głupstwo, i więcej prób robić nie chce, ledwie mi się udało namówić na jeszcze jedną.

Tymczasem wzięłem jedną z trzech kopert, ogólnie mi wiadomych, wiedziałem więc tylko tyle, że może tam być liczba 12, 30 lub 52; doświadczenie bez zmiany warunków daje doskonały rezultat: stoliczek wypukuje 12, ja umyślnie oponuję, że wypukał 13, wówczas p. S. zapytuje czy 14, „duch“ przeczy, czy 13 — także nie, czy 12 — odpowiedź, „tak“; otwieramy kopertę, znajdujemy 12! Od dalszych prób tego rodzaju Eusapia stanowczo się uchyliła.

Do najstarszych objawów, obserwowanych przez rozmaitych autorów i spostrzegaczy w tak zwanym medyumizmie, należy chłodne wianie; miała to wywoływać i Eusapia, ale ja ani razu, *absolutnie ani razu*, nie czułem nic podobnego, pomimo, że brała specjalnie w tym celu moją rękę i kładła na lewej połowie swej głowy, usilnie dopytując, czy nie czuję „soffio frêddo“ i pomimo, że inni uczestnicy względnie dość często czuli po rękach to wrażenie chłodu przed rozpoczęciem się zjawisk; raz zaś byłem świadkiem, jak jedna z pań zaznaczała że „wieje jak gdyby z otwartego lufeika.“ Dr. Rz. mówił mi jednak, że w podobnych warunkach doskonale czuł ręką chłodne wianie z lewej strony głowy Eusapii.

Przy tej sposobności zanotuję nie pozabawiony komizmu epizod, wywołany przez je-

dnego z uczestników; w chwili, kiedy entuzjastycznie ogłoszono nadzwyczajnie wyraźne „soffio frêddo“, p. R. zaznaczył głośno, że to on umyślnie dmuchał silnie ustami; co ciekawsze, że *wtedy właśnie* i ja czułem chłodny powiew! Tyle o tem. Teraz słów kilka o zjawiskach świetlnych. Na posiedzeniach, w których i ja brałem udział, Eusapia okazała się bardzo skąpą w tym kierunku, pomimo ciągle ponawianych próśb i żądań, gdyż wszystkich świateł widziałem cztery, z tych trzy na pierwszym posiedzeniu, jedno nierozwinięte na czwartym. W każdym razie uważam za potrzebne szczegółowo opisać to, com widział, tym bardziej, że spostrzeżenie moje w tym względzie niezupełnie jest zgodne z opisem, podanym przez p. Br. Rajchmana w Kur. Warsz. Miało to miejsce w zupełnej ciemności, zaraz po innych objawach, kiedyśmy stali (nie wyłączając i medyum) obok stołu, trzymając na nim ręce, złączone w łańcuch; prawą moją rękę obejmowała lewa ręka Eusapii na brzegu stołu, lewa moja ręka wraz z ręką sąsiada leżała na stole prawie na środku, gdyż opierałem się na niej. Po chwili bez zapowiedzi z obydwóch boków Eusapii dość szybko pokazały się złotawe drobne iskierki zaledwie na sekundę; wtedy umyślnie głośno *po polsku* zauważyłem, że ja nie widziałem, w kilka chwil po moich słowach prawie nad *lewą moją ręką* (proszę zwrócić uwagę na opisaną pozycję rąk) na wysokości 6—8 ctm. analogiczna iskra złotawego koloru i szybko unosząca się wyżej, zaczęła przybierać barwę i odcień, po części nawet wielkość i formę—światłką robaczka świętojańskiego z jakimś małym ogonkiem czy wyrostkiem ku dołowi. Było to już na jednym poziomie z moimi oczami i zdawało mi się, że bardzo blisko—po czem raptownie zgasło. Zjawisko zaś całe nie trwało dłużej nad 5—6 sekund, posuwanie się iskry ku górze było tak szybkie, że na sekundę widziałem jak gdyby linię świetlną. Dodam, że ja obserwowałem w tym razie rzeczony objaw na tle okna, z zewnątrz lekko z ulicy oświetlonego, i że, pomimo ciemności, w takich warunkach mógłbym widzieć rękę w powietrzu, jak to następnie sprawdziłem.

Teraz należy się słów kilka osławionemu wypuklaniu się czy wydymaniu sukni Eusapii przy objawach unoszenia się stołu. Szczególnie dobrze obserwowałem to, samo przez się eikawe, zjawisko na pierwszym posiedzeniu, wkrótce po szczegółowej rewizji ubrania i bielizny me-

nie nieoglądania się na wydatki. Wedle rejestru, który do spółki z mężem układała, i który dla tego dzielił się na kategorie, rozpoczęła kupowanie i zamawianie. Pierwsza kategoria, bielizna, druga—pościel, trzecia—odzież, dalej jeszcze jakaś. W układaniu rejestru czuć się dawał duch biurokracyjny, paragrafami hodowany. Panował w nim porządek, wedle którego pani Grabelska rozwinęła działalność, powziawszy z góry postanowienie nie śpieszyć się, nie zapalać, targować się do upadłego i nie zapomnieć o niczem.

Postanowienie łatwo powziąć, ale wykonać nie łatwo. We względzie wykonania wina—rzecz prosta—nie znajdowała się po stronie pani Grabelskiej. Sprzedający po sklepach i magazynach sprawiali dystrakcje, z którymi do końca trafić nie było można. Żądała, na przykład, kołnierzyków; podano jej kołnierzyki a obok tego podsunęto pończochy, które jej uwagę na siebie zwróciły. Zapomniała tamtych, rozpatrywała się w tych ostatnich i przypomniała sobie chustki do nosa. Zbijało ją to z tropu, gubiła się, w głowie tworzył się zamęt. Dzięki zamętowi temu czas upłynął do południa, zrewidowała sklepy kilka, zmęczyła się i sprawunku nie zrobiła żadnego.

— Cóż?... zakupiła pani Czerniejowiec połowę?...—zapytał jej hrabia przy obiedzie.

— Ale!...—westchnęła. Wybrać trudno...

— Czyż moja narzeczona w wyborze nie pomaga?...

— O!... ona!...—odparła pani Grabelska.

Joasia wobec wyprawy własnej dziwnie się znajdowała. Obojętną nie była—przeciwnie, zajmowały ją żywo nawet przedmioty po sklepach widziane. Napadało ją niekiedy roztargnienie. Oglądała się, jakby kogoś szukała. Z jednego magazynu, ujrawszy przechodzącą mimo drzwi jakąś damę, wybiegła nagle, wydzierając się z rąk kupcowej, co na niej rękawiczki przymierzała. Zdziwiło to i kupcowę i panią Grabelską.

— Co to?... — zapytała ta ostatnia, gdy Joasia z miną skonfundowaną wróciła.

— Nic, mam...—odparła.

— Czegóżes wybiegła?...

— Niczego...

— Zapewne panienska zobaczyła tego, co z małpą po mieście chodzi...—zainterweniowała kupcowa.

Joasia nic na to nie odpowiedziała, a pani Grabelska do przerwanego wróciła targu.

Nad wieczorem, już o słońca zachodzie, matka z córką zmęczone do zajazdu wracały. Pani Grabelska przypomniała sobie, że miała coś w jednym z magazynów powiedzieć.

— Idź—że ty—rzekła do córki—ja tam zaraz nadejdę...

Rozstały się. Pani Grabelska w rzeczy samej, chwilę tylko zabawiła, załatwiła się, do zajazdu wróciła — i hrabiego samego zastała.

— Joasia?...—zapytała...

— Nie widziałem jej...

— Poczła przedemną...

— Nie przyszła jeszcze... Przyjdzie niebawem...

Nie przychodziła jednak. Minął kwadrans — matka się zaniepokoiła; minęło pół godziny — zaniepokoił się i hrabia. Po upływie trzech kwadransów dany został alarm. Tugenderowa, Małka, domownicy wszyscy po mieście się rozbiegli. Tugender zawiadomił policję. Władza porządku i bezpieczeństwa publicznego rozpoczęła energiczne poszukiwania, które się ciągnęły dni trzy i nie doprowadziły do rezultatu żadnego. Dziewczyna przepadła, nie pozostawivszy po sobie najmniejszego śladu. Pani Grabelska do Zieonej Łuki w rozpaczy powróciła. Hrabia odczuł wszystkie lekarstwami zagłuszone w kościach, żyłach i mięśniach bóle, które go do łóżka przykuły.

## VI.

Joasia, z matką się rozszedłszy, do hotelu wracała i już na prowadzące do apartamentu schody wstępowała, kiedy za sobą ułyszała wołanie:

— Panienkil...  
Odwróciła się.

— A!... — zawołała tonem, jakim się zgubiła odnalezioną wita.







## Z KRAJU.

ki przemysłowe. Jak wiadomo, niedaleko Piotrkowa leży m. Bełchatów, w którym zamieszkują tkacze drobni, zwani „webrami”, oraz liczni pośrednicy fabryczni jedni i drudzy przeważnie żydzi. Ci ostatni otrzymują zwykle materiały surowy z fabryk łódzkich i rozdają go pomiędzy tkaczy do przeróbki na warsztatach domowych. Przy wypłacie pośrednicy owi dotychczas zamiast pieniędzy, wydawali kwitki czyli asygnacje do sklepów swych krewnych na wiktuały i inne rzeczy codziennego użytku. Zwyczaj ten tak się zakorzenił, że owe asygnacje kursowały pomiędzy ludźmi jak pieniądze, a nawet zdarzało się nieraz, że chciano nimi płacić podatki. Ale taki system wypłaty dla pracowników był bardzo niedogodny; za kwit można było otrzymać towar tylko we wskazanym sklepie, który, korzystając z tego, podwyższał bez powodu ceny i nadto towar dawał w gatunku pośledniejszym. Wogóle więc pracownicy tracili na takich operacjach 10 do 25% swoich zarobków, lecz nie było sposobu na to, bo tkacz w zupełnej był zależności od pośrednika. Według słów jednego ze świadków „jeżeli webr dzisiaj nie zarobi, może jutro z głodu umrzeć.” Naczelnik pow. Piotrkowskiego rozpoczął dochodzenie przeciwko całej falandze takich pośredników, opierając się na przepisie prawa, że fabrykanci nie powinni płacić robotnikom towarami zamiast pieniędzy. Sprawa była rozpatrywana najprzód w miejscowym sądzie gminnym, który skazał pośredników na 10 rubli kary każdego, a nadto przyznał tkaczom prawo dochodzenia strat. Lecz skazani przenieśli sprawę do zjazdu, gdzie ją w inny sposób wyjaśniono. Prawo zabrania fabrykantom dokonywania wypłat towarami, lecz owi pośrednicy bełchatowscy nie byli wcale fabrykantami. Wprawdzie rozdają oni materiały tkaczom, lecz robota ta odbywa się w domach a nie w fabrykach, których pośrednicy nie posiadają. Opierając się na tem rozumowaniu, Zjazd skazanych od odpowiedzialności uwolnił. Wtedy prokurator złożył protest przeciwko wyrokowi i sprawę przeniósł do Senatu, gdzie należało rozstrzygnąć kwestję zasadniczą — czy można takich pośredników traktować na równi z fabrykantami? Według opinii prokuratora, chociaż pośrednicy nie są właścicielami fabryk, ale jako agenci fabryk, zupełnie podobną odgrywają rolę i dla tego zakaz i ich dotykać winien. Senat podzielił zapatrywania prokuratora i wyrok zjazdu skasował, nakazując ponowne osądzenie sprawy.

\* \* \*

(—) Ostatni koncert Towarzystwa muzycznego poświęcono przeważnie muzyce kameralnej. „Trio” Rubinsztejna B. wysłuchane było z wyjątkową uwagą przez całą publiczność, choć wykonanie jego nie było bez zarzutu. Brak cieniowania i przezroczyści jak również zagłuszenie fortepianem innych instrumentów psuły trochę efekt. Fortepianistce jednak w solowej grze musimy oddać sprawiedliwość, że nie jest miernotą, gra p. S. Sułkowskiej odznacza się miłą pieśczołliwością, a brak siły zaciera ona umiejętnym cieniowaniem.

Jej siostra p. Z. Sułkowska, uczenica p. Angera, dała się słyszeć w solowych utworach i jakkolwiek technika jej nie jest wyrobioną, ton za to, bez względu na  $\frac{3}{4}$  skrzypce, wyróżniłby się z pomiędzy wielu skrzypków tu słyszanych. To też „Andante” z koncertu Wieniawskiego zrobiło odpowiedni efekt. Możemy tu powinszować p. Angierowi eleganckiej metody gry p. S.

Co do p. Filipa, to, obawiając się pomówienia o stronność, odsyłamy ciekawych czytelników do „Gazety Polskiej”, w której szanowny recenzent określił jego stanowisko, jako ogródkowego grajaka.

Musimy tu zaznaczyć dzięk inowację, jakkolwiek wprowadzoną z cywilizowanego zachodu — wymyślenie krytykowi za przykrą prawdę. Towarzystwo muzyczne ma tę zasługę, że zapraszając na swe koncerty solistów z orkiestry Sonenfelda, pierwsze u siebie tę inowację wprowadza, a p. wicedyrektor, który był świadkiem tego nowego sposobu polemiki, z dumą spoglądał na ów objaw postępu.

J. H.

Termin najmu służby dworskiej. — Zmiana opinii w tym względzie. — Nieco o domach zarobkowych na prowincyi.

W ostatnich czasach doświadczałem kilkakrotnie bardzo miłego zadowolenia, czytając w poważnych pismach artykuły poważnych mężów w bardzo poważny sposób poruszające te same myśli, które przed kilkoma laty tak sobie, bez żadnej szczególnej powagi w kronikach moich wypowiadałem. Nie są to myśli tak bardzo oryginalne, ani tak bardzo mądre, żebym chciał się nimi chlubić; broń Boże, są to zwyczajne uwagi o powszednich sprawach. Zaznaczam fakt ten jedynie w celu postawienia pytania: czy prasa nasza odmłodziła, czy światli mężowie i przewodnicy, posuwając się w lata, stali się mniej dojrzałymi, aniżeli byli przed trzema lub pięciu laty?

Pamiętam wybornie, że przed kilkoma laty, kiedy odezwałem się z uznaniem o projekcie, jeżeli się nie mylę, p. B. Zdziarskiego, przeniesienia terminu najmu rocznego czeladzi dworskiej ze stycznia na wiosnę lub jesień, otrzymałem od paru pism surową admonicję, że łatwo przy biurku pisać projekty, ale w życiu praktycznym liczyć się trzeba z warunkami realnymi, że termin noworoczny pomimo wielu niedogodności jest najwłaściwszym, że literaci, nie mający pojęcia o stosunkach wiejskich nie powinni zabierać głosu w sprawach, na których się nie znają i t. d.

I oto po kilku latach dowiaduję się ze *Słowa* i z *Gazety rolniczej* a wkrótce zapewne dowiem się z *Wieku*, *Gazety warszawskiej* i t. p. że termin noworoczny jest nieodpowiednim, że najlepiej byłoby przyjmować służbę na Wielkanoc. A zdania takie wypowiadają ziemianie, ma się rozumieć, „światli i praktyczni.” Nigdy nie był m i prawdopodobnie nigdy nie będę ziemianinem i wyznaję w pokorze ducha, że nie rozumiem wielu sekretów spraw ziemiańskich, ale pomimo to a może dla tego pojąć niemożem na jakiej zasadzie styczeń dogodniejszy jest od kwietnia do zmiany służby. Niewątpliwie zaś dla samej służby jest to najgorsza do przenosin pora. W styczniu zwykle panują mrozy a dzieci parobków rzadko posiadają nie tylko zimowia, ale nawet letnią odzież, dostatecznie pokrywającą ciało. Powtóre, każdy parobek ma jeszcze w styczniu kilka lub kilkanaście korcy kartofli które podczas przewozu łatwo mogą zmarznąć. Powodów takich do zmiany terminu łatwo możnaby daleko więcej wyliczyć. Z rozmaitych zaś względów termin kwietniowy jest najodpowiedniejszy. Na nowem miejscu parobek ma czas zasadzić sobie ogród, zapasów do przewożenia w porze tej nie ma wcale, zresztą w kwietniu właściwie zaczyna się rok gospodarski. Ponieważ dla właściciela majątku zmiana terminu jeżeli nie pożądana, to jest obojętną, a dla parobka dogodną, zdawało by się, że nie powinno stać jej na przeszkodzie. Ale warunki bytu służby dworskiej nie wiele pracodawców jej obchodzą, nie chce się więc im zmieniać zwyczaju, zrywać z rutyną...

Spodziewam się też znaleźć niezadługo w pismach, że tak powiem, poważnych, potępienie upowszechnionego w ostatnich latach zwyczaju obowiązkowego utrzymywania t. zw. „posyłek.” W wielu okolicach kraju parobek dworski, jeżeli nie ma dorosłych dzieci, trzymać musi dziewczkę, którą obowiązany jest posyłać na robotę do dworu za zwykłym, a czasem niższym od normy wolnego najmu wynagrodzeniem. Jest to dla parobka obowiązek bardzo uciążliwy, „posyłka” bowiem nie zawsze znajduje robotę we dworze, utrzymywać zaś ją trzeba i płacić za usługi. Wprawdzie na posylikę dwór dodaje parę korcy zboża do ordynaryi, ale dodatek ten na utrzymanie dziewczki lub chłopaka wzrostka w polowie nawet nie wystarcza. Parobcy powszechnie skarżą się na ten warunek, co najlepiej dowodzi, że jest dla nich ciężkim i przykrym. Czytamy w *Gazecie kaliskiej* że w oko-

licach Zduńskiej Woli: „Wszędzie a wszędzie służący dworscy podziękowali za służbę, a nikt na ich miejsce się nie zgłaszał... Niektórzy nie przyjęli t. zw. w tych stronach posyłki... Według doniesień z różnych okolic do gazet zjawisko to powtarzało się wszędzie.” Korespondent dodaje, że „lud okazał wiele rozsądku i umiarkowania,” jakkolwiek przypuszczać można że agenci zagraniczni namawiali go do wychodźstwa do Niemiec na zarobki wiosenne i letnie. Inną przyczyną drożenia się parobków są niskie ceny zboża i kartofli, pozwalające przy lichym nawet zarobku dziennym przetrzymać zimę i przednówek.

Obowiązek trzymania posyłek podchodzi pod pojęcie robocizny przymusowej, a więc przypomina pańszczyznę, a więc przeciwny jest prawu, które w żadnej formie wskrzeszać stosunku pańszczyznanego nie pozwala. Dla parobków zwyczaj ten jest, jak mówiliśmy, uciążliwym, a dla właścicieli ziemskich wydaje się tylko bardzo korzystnym, w grucie rzeczy zaś, zwłaszcza jeżeli posyłka pobiera za pracę na dworskiem wynagrodzenie normalne — jest dosyć kosztownym. Zbyt wielka łatwość znalezienia robotnika przyzwyczajają do używania go w takich wypadkach, w jakich można było by się obejść w gospodarstwie bez pracy najemnej.

— Filantropia u nas ma się nie źle. Na cele dobroczynne wydajemy stosunkowo dużo, może nawet więcej, aniżeli, pozwalają nam środki. Karmimy i odziewamy nie tylko starców niedołężnych i małe sieroty, nie tylko niedołęgów wszelkiego rodzaju, ale za pomocą filantropii usiłujemy tworzyć instytucje zarobkowe, urządzamy dla ubogich „choinki” i „święcone,” rozdajemy odzież osobom niezamożnym, wyprawiamy słabowite dzieci na letnie mieszkania i t. d. Jest niewątpliwie działalność szlachetna, może być nawet społecznie użyteczną, byle tylko nie przekraczała pewnej miary, którą łatwo przekroczyć, bo dosyć trudno ją określić.

„Ubóstwo jest złem,” powiadają amerykańanie i logicznie ciągną dalej, „a jeżeli jest złem, nie należy mu dopomagać.” W tym nielitościwym paradoksie jest jednak duża doza słuszności. Nie należy za pomocą filantropii zastępować tego, co powinno być rzeczą normalną... Oto np. pisma prowincjonalne donoszą o projektowanych w Radomiu, Lublinie i kilku innych miastach domach zarobkowych. Zgodzić się można na istnienie takich instytucji dobroczynnych w wielkich miastach, jak np. Warszawa, gdzie znajdzie się zawsze sporo ludzi, wykolejonych ze stosunków normalnych, czasowo pozbawionych zajęcia. Tak być musi, bo jakie takie uregulowanie stosunku pomiędzy popitem na pracę a jej podażą w wielkiem zbiorowisku ludności jest niemożliwym. Warunki zarobkowania w wielkiem, przemysłowem mieście ulegają silnem wahaniom. Dziś kilka tysięcy ludzi nie ma zajęcia, ale za parę tygodni znajdzie się dla nich robota. Otóż dla tej rezerwy roboczej domy zarobkowe mogą się okazać bardzo użytecznymi. Ale w Radomiu, ani w Lublinie rezerwy takiej, zmobilizowanej w oczekiwaniu pracy, niema, jeżeli zaś jest, to nieliczna i łatwo byłoby ją rozpuścić. Do domów zarobkowych cisnąć się będą ludzie, którzy poprzestaną na lichym zarobku 15 kopiejek (a więcej za sortowanie makulatury lub wytapianie laku ze starych kopert płacić nie można) — i za te pieniądze przepięją się w domu noclegowym, jako tako posilą w taniej kuchni i będą vegetować w dobroczynnym przytulku całe miesiące, może lata całe. Czy ludzi takich wspierać warto, czy nie należy pozostawić ich własnemu losowi?

Wielu zbyt wielu znajduje się u nas ludzi, którym chodzi o to tylko aby „przeżyć” byle jak, chociażby w domu zarobkowym. Ludzie tacy są ciężarem dla społeczeństwa, jak wogóle wszelkie żywyli bierni. Ułatwienie takiej lichy egzystencji z pewnością nie doda im energii, nie zachęci do pracy, nie przetworzy w żywyli — czynne. Filantropia, stosowana zbyt szeroko, demoralizuje tych, co z niej korzystają. Jałmużna jest upokarzającą i powinna być upo-









## O D E Z W A.

W przewidywaniu potrzeby nowych kilku pomieszczeń dla kolonii letnich w roku bieżącym, grono osób, upoważnionych przez władzę, zwraca się do ziemian w kraju o ofiarowanie gościny na lato dla ubogich słabowitych dzieci warszawskich. Zawiadomienie o ofiarowaniu pomieszczenia jest koniecznym przed 1 kwietnia. Adres: dr. St. Markiewicz, Miodowa Nr. 3. — Kolonie pomieszczone być mogą tylko w niezbyt wielkiej odległości (najwyżej 2—3 mil) od stacji dróg żelaznych. Koszt zaopatrzenia kolonii i jej całkowitego utrzymania ponosi sama instytucja. Najpożądalszymi są lokale, pozwalające pomieścić naraz przynajmniej 40 do 50 dzieci (dwie grupy) z dwiema osobami dozorującymi, gospodynią i kucharką; kąpiel zimna, dobra, niezbyt odległa, jest koniecznym warunkiem.

*St. Markiewicz.*

## Odpowiedzi od Redakcyi.

*Pani Z. J. S.* Adres p. N. Lwów ulica Kopernika 17.

*P. St. Bsi.* w Lwowie. Oczekujemy z niecierpliwością pracy, której jeden urywek Sz. P. nam przysłał.

*P. Ign.* w Mit p. Tom. w Rydze. Zapowiedzianych korespondencyi nie otrzymaliśmy dotychczas.

Polecamy czytelnikom świeżo wydane nakładem naszym dzieło:

Alfreda Fouillée

## MORALNOŚĆ, SZTUKA I RELIGIA

według Guyau.

(z portretem Guyau.)

Cena rs. 1 kop. 20.

## O G Ł O S Z E N I A.

## NASIONA

## SADZONKI

drzew i krzewów leśnych, parkowych i owocowych poleca **po cenach w kraju najniższych** Zarząd lasów w Podzamczu, poczta **Sobolew**, gub. **Siedlecka**.

Cenniki na żądanie wysyłają się franco.

*F. Różyński.*

## HERBATA

## J. Z. RATYŃSKIEGO

do nabycia we własnych sklepach

W WARSZAWIE,

Aleje Jerozolimskie 84, skład główny,  
Marszałkowska 144.

Trębacka dom Szajblera.

NA PROWINCYI upraszamy żądać naszej herbaty we wszystkich sklepach.

## JAN KRZYKOWSKI

## OPTYK ELEKTRO-TECHNIK

SKLEP I FABRYKA

w Warszawie, Marszałkowska Nr. 109 (róg Chmielnej).

Poleca: Aparaty Elektro medyczne wszelkich systemów własnego wyrobu, reperacje powierzonych **pod gwarancją**. Wyrabia i urządza dzwonki elektryczne. Posiada na składzie: Szkła, Okulary, Nasionki, Termometry lekarskie, Inhalatory, Respiratory, Irygatory, Szpryce, Paski i t. p. przedmioty w wielkim wyborze. **Specjalne szpryczki do zastrzykiwań glicerynowych.** Środki opatrunkowe i bandaże, po cenach fabrycznych.

UWAGA. Wykonywa wszelkiego rodzaju roboty w zakres techniki lekarskiej wchodzące, ściśle według przedstawionych wzorów i planów rysunkowych.

Ceny przystępne.

Pozostałe w niewielkiej ilości egzemplarzy

## Dzieła H. SPENCERA

nabywane być mogą po cenach następujących:

Zasady socjologii 2 duże tomy.	Cena rs. 4 kop.	80
Instytucje obrzędowe . . . . .	" "   "	30
Instytucje polityczne . . . . .	" "   "	80
Instytucje kościelne . . . . .	" "   "	—

Дозволено цензурою, Варшава 21 Января 1894 г.

Druk Józefa Jeżyńskiego, Warszawa, Danielewiczowska 16.

Redaktor i Wydawca **J. K. Potocki.**

## KSIĘGARNIA

## TEODORA PAPROCKIEGO I S-KI

w Warszawie, Nowy-Świat 41,

poleca następujące nowe dzieła, własnym nakładem wydane:

Ceylenger H. Ze znalezionych kartek.—Mauiak . . . . .	1 75	Or-ot. (Artur Oppman. Pieśni . . . . .	1 —
Chassang A. i Marcou A. L. Epos. Arcydzieła poezji epicznej wszystkich czasów i narodów . . . . .	2 —	Palko S. Wykład pisowni polskiej w dyktandach. Według uchwał Akademii Umiejętności w Krakowie . . . . .	— 60
Cordella. Mali bohaterowie. Książka dla dzieci. W opowieści . . . . .	1 50	Parozewska M. Obrazki . . . . .	— 60
Dąbrowski I. Śmierć. Studium. Dornblüth Otto d-r. Hygiena Dygasiński A. Wint. Wyjatek z pamięt. winciarza . . . . .	1 20	Perez B. Charakter od lat dziecięcych do wieku dojrzałego Przełożył K. D. . . . .	1 50
Hardy T. W pogoni za ukochaną. Powieść . . . . .	— 75	Prażmowska T. Podarek Babci. Z ilustracjami Henryka Piątkowskiego. W opowieści . . . . .	1 —
Jrwornicki A. M. Synowie Kaina. Powieść . . . . .	1 50	— W dziewiczych lasach Ameryki. Powieść dla młodzieży. Z rysunkami. W opowieści . . . . .	1 —
Kipling R. Zwodne światło. Powieść . . . . .	1 —	Rodziewiczówna M. Na fali. Powieść współczesna . . . . .	1 50
Kornig Th. G. d-r med. Hygiena skromności . . . . .	— 60	Rogosz J. Zerwane struny. Powieść współczesna . . . . .	1 50
Krzyżanowski A. Mimoza. Powieść współczesna . . . . .	1 20	Rothe A. d-r med. Rys dziejów psychiatrii w Polsce. . . . .	1 —
Loti Piotr. Marynarz. (Matlot) Maspero G. Opowiadania historyczne. Egipt i Assyria . . . . .	— 50	Szanławski B. Dzisiejsze małżeństwo . . . . .	— 60
Morosz J. Na scenie i za kulisami. Historia parafjalna Nalkowski W. Zarys geografji powszechnej (rozumowej). Wydanie II . . . . .	1 80	Tchórznioki J. d-r. Przewodnik dla służby zdrowia podczas epidemji cholery. . . . .	— 30
	— 75		
	2 50		

Czytelnia Dzieł i Pism Naukowych  
Jerozolimska 21.

Posiada 4 tysiące tomów z literatury naukowej i 80 czasopism

Z nowości między innymi otrzymano następujące:

K. Gide. Zasady Ekonomii społecznej.

Perez. Charakter dziecka i człowieka.

Matuszewski. Dyabeł w poezji.

Chassang-Marcou. Epos.

Янжуль. Въ поискахъ лучшаго будущаго.

Rocquigny. Les syndicats agricoles.

Fouillée. La psychologie des idées-forces, 2 t.

Dürkheim. La division du travail social.

Tarde. Les transformations du droit.

Hoensbroech, Mein Austrittaus, d. Jesuitenerden.

Dr. Minna Wettstein. 3 1/2 Monate Fabrikarbeiterin.

Hamerstein. Das preussische Schulmonopol.

Gneitze. Schillers Lehre v. d. ästhetischen Wahrnehmung.

Siguelé. La foule criminelle.

Fr. Schulze. Die deutsche Erziehung.

Conrad, Lexis etc, Handwörterbuch der Staatswissenschaften. 5 t. etc.

Nowości przez pierwszy miesiąc mogą być czytane tylko na miejscu.

Bilet wejścia kop. 5. Abonament miesięczny kop. 50.

Czytelnia otwarta od 11 rano do 10 w.

nr rej 55/74k